

*„Wielokrotnie słyszałem, że do Polski nie ma co wracać,
bo tam rządzą Rosjanie.”*

Józef Piechocki - pochodzi z Wielkopolski z miejscowości Smuszewo. Podczas II wojny światowej jako młody chłopiec został wywieziony do III Rzeszy Niemieckiej, gdzie wraz z innymi przymusowymi robotnikami pracował w gospodarstwach rolnych. Los sprawił, że nigdy już nie spotkał się ze swoimi rodzicami. Po zakończeniu wojny postanowił nie wracać do Polski, marzył o wyjeździe do Ameryki lub Australii. W 1948 roku jako dziewiętnastolatek przybył do Wielkiej Brytanii, obecnie mieszka w Londynie.

Nazywam się Józef Piechocki, urodziłem się w 1929 roku, pochodzę z Poznańskiego, a dokładnie z miejscowości Smuszewo blisko Wągrowca oraz Wapna, gdzie kiedyś była duża kopalnia soli. W Smuszewie mieszkaliśmy w domu pod strzechą. Byliśmy biedni, mieliśmy jedną krowę i świnie, dostaliśmy to z majątku. W pobliżu był dom, w którym zorganizowano sklep i od czasu do czasu poproszony przez mamę chodziłem tam na zakupy.

W naszej miejscowości początkowo nie było wody. Chodziłem do majątku po wodę, brałem dwa wiadra i niosłem wodę do domu, jakieś dziesięć minut drogi. Kiedy mama chciała wodę na herbatę, to też zawsze szedłem po nią do majątku. Nie mieliśmy elektryczności, używaliśmy naftę, która była łatwo dostępna. Jedynie podczas wojny jej brakowało. Kiedy Niemcy zajęli nasze tereny, wprowadzali elektryczność. W majątku było inaczej, tam była elektryfikacja, konie cały dzień pracowały, wprowadzały w ruch mechanizm, który wytwarzał prąd i w ten sposób naładowywał baterie...

W pobliżu naszej miejscowości było jezioro, chodziliśmy tam łowić ryby. Pamiętam, że topiłem się dwa razy, zostałem uratowany przez brata. Był też duży staw, który zimą zamarał, lód był wycinany, chowano go, jak to w Polsce, zakopywano i przez cały rok był używany. Wpadłem też do tej zimnej wody w stawie, ale na szczęście było więcej osób i zostałem wyciągnięty.

Mama zajmowała się domem. Ojciec pracował w majątku, a bracia chodzili do szkoły. Miałem jedną siostrę i dwóch braci. Ja byłem najmłodszy. Tak jak moje rodzeństwo, chodziłem do szkoły, ale nie byłem dobry w nauce. We wczesnych latach nauki, gdzie były klasy dla młodszych dzieci, miałem blisko do szkoły. Kiedy byłem już starszy, uczyłem się w Wapnie, nie było komunikacji, więc chodziłem pieszo.

Mój ojciec był stróżem w majątku, miał groźnego psa, który pilnował wejścia do obory. Gdyby ktoś tam chciał wejść, pies mógłby go pogryźć. Majątek dziedzica był bardzo duży. Wokół znajdowało się sześć domów, a ich mieszkańcy pracowali w majątku. Do sezonowej pracy przyjeżdżali też mężczyźni z południa Polski, z okolic Rabki i innych stron. Pamiętam jak z chłopakami chodziliśmy do bloku, w którym ci mężczyźni mieszkali. Nie był on wysoki, miał szerokie kominy, my ukryliśmy się za tymi kominami i gdy szło Hitlerjugend, rzucaliśmy w nich kamieniami. Ktoś to zauważył, doniósł na mnie i z tego powodu wywieziono mnie do Niemiec. Miałem wtedy piętnaście lat. Nigdy już nie wróciłem do Polski na stałe.

W 1939 roku wybuchła wojna. Dla mnie był to zwykły dzień, słyszałem tylko, że wojna wybuchła. Przestaliśmy chodzić do szkoły. Po krótkim czasie w naszej miejscowości pojawiło się Hitlerjugend. Wznowiono naukę w szkołach, ale w języku niemieckim. Do takiej szkoły chodziłem krótko, nie chciałem kontynuować nauki.

Jak to się stało, że został Pan wywieziony do Niemiec?

Jak już wspominałem, ktoś doniósł, że kamieniami rzucam w Hitlerjugend, choć nie tylko ja tak się zachowywałem, inni też. Pojawiła się policja i przekazała mamie: „Pani syn ma pojechać do Poznania.” Miałem wtedy piętnaście lat. Mama zrobiła mi kanapki na drogę, pojechałem do Poznania i stamtąd już nie wróciłem. W Poznaniu poszedłem pod wskazany adres, zostałem zapisany, po czym skierowano mnie na stację kolejową do wagonów bydłowych i jechaliśmy prosto do Niemiec. W wagonie było dużo ludzi, siedzieliśmy na deskach. Na drogę dostaliśmy bochenek chleba i z tym wyżywieniem jechaliśmy, łamiąc go po kawałku. Nie miałem możliwości, by zawiadomić rodzinę, że będę wywieziony. Po jakimś czasie tato został poinformowany, że zostałem zabrany do Niemiec.

Po dotarciu do III Rzeszy najpierw przez około trzy miesiące byliśmy w obozie przejściowym w Hanowerze. Ludzi przydzielano w różne miejsca. Nadszedł dzień, kiedy zarządca majątku wysłał jednego z pracowników po mnie, by mnie przywieźć. Zabrano mnie i jeszcze jedną kobietę do niemieckiego majątku, w którym znajdował się duży dom, mieszkało nas sześciu w jednym pokoju, a z drugiej strony budynku mieszkały kobiety, w większości byli to Polacy. Niestety, nie pamiętam nazwy tej miejscowości.

Co Pan tam robił?

Wszystko! Oranie, bronowanie, młócenie, noszenie worków ze zbożem, były bardzo ciężkie jak dla mnie, przecież wtedy byłem młodym chłopcem, ale trzeba było nosić, bo inaczej dostawało się lanie. Był duży spichlerz, czasem trzeba było w spichlerzu przesypywać łopatami zboże z jednego miejsca na drugie, by nie zgniło. Przy tej pracy spędzaliśmy nieraz cały dzień.

Otrzymywaliśmy 2 bochenki chleba na tydzień oraz kostkę margaryny. Maśła nie było. Człowiek był głodny i młody, więc taki bochenek chleba można było zjeść w jeden dzień. Na obiad przeważnie gotowano grochówkę, ale bez mięsa i bez tłuszczu. Poza tym nie było innego jedzenia, trzeba było głodować. Mieliśmy blaszane miski. Nieraz udało się ukraść coś do zjedzenia, ale trzeba było bardzo uważać, bo gdyby ktoś zauważył, zaraz by rozstrzelano taką osobę.

Czy tak się zdarzyło, że rzeczywiście za kradzież jedzenia kogoś rozstrzelano?

Tam, gdzie ja pracowałem, nie, ale w sąsiednich miejscowościach tak się zdarzyło, słyszałem o tym. Pewnego razu napisałem list do mojego ojca. Podzieliłem się z nim, że jestem bity i źle traktowany przez Niemców. Mój ojciec bardzo dobrze mówił i pisał po niemiecku, po polsku nie umiał pisać. Tato walczył w I wojnie światowej po stronie niemieckiej, gdyż mieszkał na terenie zaboru pruskiego. Zarówno tatę jak i starszego brata namawiano, by wstąpili do armii niemieckiej, ale obaj odmówili. Gdy ojciec przeczytał korespondencję ode mnie, napisał list do Niemców, w następstwie której przyszedł do mnie jeden ze zwierzchników niemieckich

i zapytał, czy czuję się tu źle traktowany, czy mam tu źle, że zażalenia piszę..?! Byłem młody, nie wiedziałem, że taki będzie przepływ informacji...

Byliśmy bici batem lub laską, w gospodarstwie był wyznaczony jeden człowiek, pamiętam był kulawy, przychodził i bił nas.

Z jakiego powodu Was bił?

Przykładowo za to, że trzeba było nosić literę „P” – jako Polak. Ja nigdy nie nosiłem, on zapytał mnie, dlaczego nie noszę? Odpowiedziałem, że nie mam agrafki i nie mam czym przypiąć! Dał mi agrafkę, a ja nie przypiąłem litery i za to dostałem lanie. Były też inne sytuacje, w których byłem bity.

Od czternastego roku życia paliłem papierosy. Tam nie były dostępne. W polu pracowaliśmy wołami. Czasem, kiedy wracaliśmy z pracy, siadaliśmy na nie i widzieliśmy, że w stodole wisi tabaka. Zdarzało się, że w nocy chodziliśmy kraść. Następnego dnia kontrolowano, kto to zrobił. Mieliśmy sienniki wypychane słomą. Tabakę wkładaliśmy w siennik do tyłu, a Niemcy tam nie sprawdzali, myśleli, że to słoma. Gdyby znaleźli tabakę, rozstrzelano by nas natychmiast. Któregoś razu widzieliśmy w stodole obok jednego z domów, suszącą się na sznurkach tabakę koloru jakby żółtego. Drzwi od stodoły były otwarte, weszliśmy tam. Mieliśmy wyjątkowe szczęście, gdyż w odległości około pół kilometra znajdował się tysięczny oddział wojska. My nie wiedzieliśmy tego, gdyby nas złapano to byłby koniec!

Pracował Pan jeszcze w innych miejscach?

Z majątku, w którym pracowałem bezpośrednio po przyjeździe do Niemiec, zostałem przeniesiony na odległość około jednego kilometra do gospodarza, do którego należało małe gospodarstwo, było mi tam lepiej. Pracowała w nim też pewna kobieta, Polka lub Ukrainka, już dziś nie pamiętam. Zajmowała się ona domem gospodarza, sprzątała i gotowała. Pamiętam, nieraz po kryjomu przynosiła mi talerz zupy. Zupa była lepsza niż ta, którą dostawaliśmy w majątku, naprawdę miałem tu lepiej niż w miejscu poprzednim. W nowym gospodarstwie pracowali też Niemcy, którzy byli przeciwnikami Hitlera. Rozmawialiśmy o wojnie. Powiedziałem im: „Wojny nie wygracie!” Oni na to odpowiedzieli: „My wiemy, że wojny nie wygramy!”

Któregoś dnia wybrałem się znów do majątku w odwiedzinach do kolegów. Idąc drogą, zauważyłem dojrzałe, czerwone pomidory, wszedłem do ogrodu i ukradłem ich kilka. Zauważył mnie pewien Niemiec, zaczął krzyczeć na mnie i poszczuł mnie psem. Nie udało mu się dogonić mnie, był starszy, nie miał wystarczających sił. Następnego dnia przyszedł do Niemca, u którego pracowałem i doniósł, że ukradłem pomidory. Mój gospodarz był dobrym człowiekiem i mnie popierał, obronił mnie wówczas. Powiedział, że ja cały czas byłem w gospodarstwie, pracowałem i że on ma na to świadków. Ja przyznałem mu się: „Ukradłem jeden czy dwa pomidory, bo chciało mi się jeść!” Gospodarz powiedział: „Niech to będzie pierwszy i ostatni raz, daruję ci, ale na przyszłość nie będę cię bronił!”

Po około roku znów poszedłem do majątku, gdzie wcześniej pracowałem. Mojego gospodarza, który mnie obronił, wówczas już nie było, bo zabrano go do wojska, pomimo że był w lekkim stopniu inwalidą. Niemcy w tym czasie mieli tak duże zapotrzebowanie, że brali prawie

wszystkich, nawet chłopców, którzy ukończyli piętnaście lat. Kiedy gospodarz wyruszał na wojnę, powiedziałem do niego: „Możesz już nie wrócić...”, na co odpowiedział: „Nie wiem...”

Zostałem znów przeniesiony do majątku, w którym pracowałem wcześniej. Koniec wojny był już bliski. W oborze znajdowało się około 20 krów, nadzorcą był Szwajcar. Rozmawialiśmy i powiedział mi: „Ja cię nie wydam, jeśli chcesz możesz przyjść bardzo wcześnie rano do obory i wypić sobie mleka, ale żeby nikt cię nie widział, bo za to już nie odpowiadam! Dekiel będzie przewrócony na odwrót, tam znajduje się mleko najlepszej klasy.” Korzystałem z tej możliwości, wcześnie rano, kiedy nikt nie widział, wchodziłem do obory i piłem mleko. Wcześniej musiałem się obejrzeć dookoła, czy na pewno nikt mnie nie widzi. Potem zakładałem dekiel i uciekałem. To mleko mnie „trzymało”. Następnie brałem woły z obory i szedłem do pracy. Czasem pracowaliśmy w spichlerzu, gdzie robiliśmy sieczkę dla krów. Raz wzięliśmy trochę pszenicy i zrobiliśmy mąkę, skorzystaliśmy z kamieni od żarna. Zastanawialiśmy się, jak tę mąkę wynieść ze sobą poza bramę gospodarstwa... Mąkę chowaliśmy za podszewkę marynarki. Nie zmieściło się jej dużo, ale braliśmy tyle, ile się dało, około pół kilograma. W domu dodawałem do niej wody i piekłem placek na piecu. Kombinowaliśmy rozmaicie, żeby przeżyć. Nie mieliśmy żadnych dni wolnych ani świąt.

Pod koniec wojny Niemcy byli podzieleni, były strefy rosyjska, amerykańska, angielska i francuska. Teren, gdzie mieszkaliśmy, mieli przejąć Rosjanie, więc trzeba było uciekać, gdyż z terytorium wyzwolonego przez Rosjan wracalibyśmy do Polski. Pewnego razu ktoś powiedział: „Będziecie wolni, bo przyjedzie po was Wojsko Polskie z Dywizji Pancерnej generała Maczka.”

I tak się stało, zaraz kiedy zakończyła się wojna, przyjechali po nas i wywieźli nas na stronę angielską.

Jakie szczególne znaki, które Pan zauważał, wskazywały na to, że wojna się kończy?

Wiedziałem to. Niemcy mieli taką zasadę, że ścinali wówczas wszystkie słupy telefoniczne, żeby nie było połączenia ze światem dla Anglików czy Amerykanów, którzy przejmą ich tereny. Pamiętam, że mówiłem do chłopaków: „Zobaczycie, że za niedługo ktoś tu przyjdzie z wyzwoleniem!”

Wiedziałem, że coś się zmieniło. Pracowałem wówczas przy wykopywaniu buraków, miałem dwa wozy i zaprzęgnięte woły, którymi wyciągałem wozy na prostą drogę. Podczas tej pracy zniszczyłem sobie buty, drewniaki i powiedziałem do chłopaków: „Obiad o pierwszej godzinie, pójdę i już nie wrócę!” Koledzy powiedzieli: „Jeśli tak zrobisz, Niemiec nadzorca da ci lanie!” Poszedłem do domu, zanim wyczyściłem buty, szukałem gwoździ, by je zreperować. Zauważyłem nadzorcę idącego wraz z dwoma innymi Niemcami. Wytłumaczyłem im, dlaczego nie pracuję i poinformowałem, że naprawiam buty. Jeden z Niemców miał buty wojskowe i powiedział mi: „Do roboty pójdziesz, a jak będzie lato, skopiesz ogródek” i dał mi wojskowe buty niemieckie. Założyłem je i poszedłem do pracy. Za parę miesięcy weszli Amerykanie, wyzwolili nas, tak że już ogródka nie kopałem. Przyjechali po nas żołnierze z Dywizji generała Maczka. Na dom, w którym mieszkaliśmy, był wówczas olbrzymi nalot samolotów amerykańskich. Pamiętam, że tuż przed nalotem nabieraliśmy kartofli, obraliśmy i mieliśmy blachę, w piecu upiekliśmy kartoflany placek. Amerykanie spuszczały tyle bomb, że

zdecydowaliśmy się uciekać. Wybiegliśmy i uciekaliśmy w pole. W pobliżu był duży stóg słomy złożony z bali. Wyciągnęliśmy kilka bali słomy i weszliśmy do środka stogu, zabraliśmy też ze sobą miskę z upieczonym plackiem ziemniaczanym. Cały czas było słychać spadanie bomb. W niedalekiej odległości stał parowóz, było widać płomienie z niego, kiedy trafiła tam bomba.

Jak wyglądała wywózka z gospodarstwa, w którym Pan i inni ludzie pracowali, czy wiedzieliście wcześniej, że po was przyjadą?

Nie, nie wiedzieliśmy, to stało się nagle. Kiedy kończyła się wojna, to ja już od tygodnia nie pracowałem, Niemcy wówczas już na to nie reagowali, bo się bali. Chodziłem po polu i zauważyłem czołgi, zastanawiałem się, czy są rosyjskie czy amerykańskie. Żołnierze z czołgu zauważyli mnie i zaczęli machać w moim kierunku. Podszedłem bliżej, rzucali papierosy. Pomyślałem wówczas: „Pierwszy raz dostałem papierosy... bez kradzieży...” Wśród żołnierzy był jeden Polak, nie wiem jak się tam dostał, miał polską furazerkę i polską broń.

Po tygodniu wojsko wyjechało, byliśmy w strachu, nie wiedzieliśmy, co będzie, braliśmy pod uwagę to, że Niemcy znów mogą wrócić. Jednak znów wróciły wojska amerykańskie, wspomniany przeze mnie Polak był z nimi, ale już ubrany w mundur amerykański. W pobliżu znajdowała się gorzelnia. Polacy przynosili z niej wódkę Amerykanom. W końcu wyjechaliśmy i bezpośrednio po zakończeniu wojny dostaliśmy się najpierw do miejscowości Peine, byliśmy tam około jednego miesiąca, następnie przewieziono nas do obozu przechodniego Heilder Swain. Były to duże koszary poniemieckie i tam zatrzymaliśmy się, ja mieszkiałem w jednym z baraków wraz z polską rodziną. Obóz był bardzo duży, przegrodzony drutem kolczastym, z jednej strony mieszkali Rosjanie, a z drugiej Polacy - mężczyźni. Obóz był patrolowany przez osoby należące do dywizji generała Maczka. Handlowaliśmy z Rosjanami, kupowaliśmy od nich papierosy. Po krótkim czasie na rozkaz Stalina Rosjanie powrócili do swojej ojczyzny. Generałowie rosyjscy, którzy się poddali, zostali wywiezieni na Syberię i rozstrzelani. Kiedy po latach pracowałem w Anglii, spotkałem jednego z rosyjskich generałów, który poddał się z całą dywizją. Mówił mi, że gdyby wtedy wrócił do Rosji, zostałby rozstrzelany.

Oczekując na wyjazd z Niemiec pracowaliśmy ochotniczo w lesie, ścinaliśmy drzewa, dostawaliśmy dzięki temu lepsze jedzenie.



Przy wyrabianiu koszy w Niemczech, Józef Piechocki, (w trzecim rzędzie, drugi z lewej strony).

Jak to się stało, że po wojnie trafił Pan do Anglii?

Zawsze lubiłem słuchać, co mówią ludzie starsi. Wielokrotnie słyszałem, że do Polski nie ma co wracać, bo tam rządzą Rosjanie. Mój brat w czasie wojny pracował u Niemca *bauera*, na terenie Polski. Miał tam dobrze. Siostra podczas wojny była w domu razem z rodzicami. Tato cały czas był stróżem majątku.

Starsi pytali mnie: „Józek, jak z tobą, jedziesz do Polski?” odpowiadałem: „Tak”, a kiedy przyszedł transport, nie zgłosiłem się do wyjazdu, odwlekałem. Miałem chęć, by wyjechać gdzieś dalej. Kiedy byłem mały, oglądałem filmy kowbojskie w szkole, ich obraz został w mojej pamięci, miałem ochotę pojechać do USA albo do Australii i jak cowboy pilnować tysięcy owiec czy krów, jeździć konno i mieć przy sobie broń (śmiech...). W Niemczech, kiedy tylko była okazja, też chodziłem wraz z Amerykanami czy Anglikami oglądać filmy, nic nie rozumiałem, ale ważny był obraz, to co widziałem. „Łapałem” tylko niektóre słówka. Jednego razu pojawiło się ogłoszenie, że zapisują chętnych na wyjazd do Australii. Zainteresowałem się tym, ale ogłoszenie okazało się już nieaktualne. Ktoś przyszedł i zaproponował: „Czy chcesz jechać do Anglii?” Zgodziłem się. Nadszedł dzień transportu i wyjechałem do Anglii w 1948 roku, miałem wtedy 19 lat.

Jak wyglądała podróż na Wyspy Brytyjskie?

Z Niemiec jechaliśmy do Holandii, a stamtąd płynęliśmy do Wielkiej Brytanii promem. Wraz ze mną podróżowało wielu Polaków, okręt był pełen. Przypłynęliśmy do Portsmouth Harbour. Był tam obóz po wojsku kanadyjskim, składający się z baraków w kształcie beczek, my nazywaliśmy je beczkami śmiechu. Mieszkaliśmy w nim około miesiąca. Zacząłem uczyć się języka angielskiego. Raz w tygodniu przychodziła kobieta nauczycielka i raz w tygodniu mężczyzna, którzy uczyli nas angielskiego. Mężczyzna przynosił całą walizkę obrazków, na nich była: krowa, koń, owca, maszyna itp. Pytał: „What is this?” I po angielsku mówił nazwę, a my powtarzaliśmy. Kiedy przychodziła kobieta, również przynosiła obrazki w walizce, ale związane bardziej ze słownictwem dotyczącym kobiet. Tłumaczyła nazwy damskiej garderoby. Było dużo śmiechu...

Jak wspominałem, po upływie około miesiąca zmieniliśmy miejsce zamieszkania. Przyjechały cztery autobusy i zabrano nas wszystkich. Część osób zawieziono do pracy na farmie, a mnie przydzielono do obozu wojskowego Bicester blisko Oxford i Pitsford, gdzie pracowaliśmy w wojskowych magazynach. Było w nich dużo broni ciężkiej, między innymi działa przeciwpancerne. Broń z magazynów ładowaliśmy na wagony i zabierano ją na złom lub sprzedawano, niektórzy mówili, że Arabom. Dostawaliśmy wypłatę - trzy funty tygodniowo co w przybliżeniu stanowiło równowartość 300 dzisiejszych funtów. Otrzymywaliśmy też śniadanie i obiad. Mieszkaliśmy we wspomnianych „beczkach śmiechu” po sześciu w jednej. Nie mieliśmy w pobliżu polskiego kościoła. Czasem, ale bardzo rzadko kiedy, przychodził ksiądz i w jednej z „beczek” odprawiał nabożeństwo. W pobliżu był angielski kościół katolicki, więc można było uczestniczyć we Mszy Świętej. Mieliśmy podpisany kontrakt na siedem lat, praca była ciężka i brudna. Pewnego dnia przyjechał jeden Polak z ofertą lepszej pracy. Zaproponował mi pracę w wojskowej kantine oficerskiej. Przyjąłem tę propozycję, zostałem kelnerem, na tym samym kontrakcie, tylko był to inny rodzaj pracy, o wiele lżejszej i bardziej płatnej. Kucharzem

w kantynie był Polak, więc było nam dobrze, razem współpracowaliśmy. Niedaleko od miejsca naszej pracy znajdowały się koszary wojskowe dla kobiet. Kiedy chodziliśmy do dziewczyn w odwiedziny, zabieraliśmy od nich część jedzenia, bo miały większe przydziały i zanosiliśmy je oficerom. W pobliżu znajdowała się mała wioska, zacząłem szukać mieszkania i udało mi się wraz z kolegą znaleźć pokój u starszej pani Angielki. Mieszkałem tam do końca kontraktu.

A kiedy skończył się kontrakt, gdzie podjął Pan nową pracę?

Stamtąd wraz z kolegą wyjechaliśmy do Oxford. Były to lata pięćdziesiąte. Zatrudniliśmy się w fabryce aut w Oxfordzie, gdzie pracowało około piętnaście tysięcy ludzi. Produkowano auta marki Morris, Austin i inne. Znowu wynająłem pokój na spółkę z kolegą, tym razem wynajęliśmy u Polaka, który ożeniony był z Angielką. Za tygodniowy wynajem płaciliśmy 1 funt. Mieliśmy dobrą wypłatę, zarabialiśmy jedenaście funtów na tydzień. Nieraz śmialiśmy się, bo Amerykanie zarabiali czterdzieści pięć funtów na miesiąc. Pracowałem tam dwa lata i po tym czasie przyjechałem do Londynu. Kolejny raz zamieszkaliśmy wraz z kolegą na Passen Green, mieliśmy blisko nad Tamizę. Pokój wynajęliśmy znowu u Polaka. Pracowaliśmy dla angielskiej firmy na budowie, nie byliśmy jej pracownikami długo, około roku, praca była bardzo ciężka. Potem pracowaliśmy u jednego z Polaków, ale przynależność do firmy wiązała się z licznymi wyjazdami, przemieszczaliśmy się po całej Anglii i nie chciałem dłużej tak funkcjonować. Zatrudniłem się w fabryce ciastek United Biscuits, w Londynie na Wembley, zarabiałem 8-10 funtów. Pracowałem tam trzydzieści siedem lat, aż do emerytury, na którą przeszedłem w 1994 roku. Byłem na stanowisku przy obsłudze maszyny wyrabiającej ciastka, praca była trudniejsza niż obecnie, kiedyś wyrabiano 1000 ton ciastek na rok. Przy obsłudze jednej maszynie pracowało czternaście osób, a teraz tylko trzy.



Józef Piechocki z załogą w pracy (piąty z prawej strony).

Gdzie po raz pierwszy spotkał Pan żonę i jak doszło do Waszego małżeństwa?

Żonę zapoznałem na Queen's Park. Wówczas mieszkałem w tamtej części Londynu, u Polaka Piotra Kurowskiego, który miał bardzo duży dom. Pewien znajomy Irlandczyk namówił mnie, by tam właśnie wynająć pokój, gdyż było bliżej do miejsca mojej pracy. Żona Kurowskiego powiedziała mi, że jej kuzynka mieszka oraz pracuje w Rabce i mogłaby zostać moją żoną. Tak się stało, Kurowska sprowadziła kuzynkę do Londynu, a ona zatrzymała się tu przez tydzień. Powiedziałem jej, że jeśli chciałaby być ze mną, to ma czas, żeby się namyślić. Wróciła do Polski, pisaliśmy do siebie i zawarliśmy małżeństwo „by proxy” (małżeństwo zawarte przez pełnomocnika), czyli na odległość. Ona w Polsce wzięła fikcyjny ślub cywilny, ale na moje nazwisko i w ten sposób miała prawo, by przyjechać do Wielkiej Brytanii. Dopiero po dotarciu żony do Anglii mieliśmy ślub kościelny w parafii oo. Jezuitów znajdującej się na ulicy Willesden Green w Londynie. Żona była siedem lat młodsza ode mnie. Zaprosiliśmy najbliższych znajomych. Po ślubie zamieszkaliśmy u Kurowskiego, później na Chapter Road. Urodziła się córka i postanowiliśmy szukać domu. Miałem trochę odłożonych pieniędzy, a resztę udało mi się pożyczyć i kupiliśmy dom. Po jakimś czasie sprzedałem go, bo znajdował się zbyt blisko stacji pociągów i było głośno, żona chorowała na raka, potrzebowała ciszy. Przeprowadziliśmy się w bardziej spokojne miejsce. W domu, w którym mieszkam obecnie, zamieszkaliśmy trzydzieści lat temu. Mieliśmy troje dzieci, dwie córki i syna, który jest najmłodszy. Młodsza córka mieszka we Francji, a syn i starsza córka w Wielkiej Brytanii. Kiedy zmarła moja żona, najstarsza córka miała czternaście lat, musiałem zająć się zwłaszcza synem, który był bardzo mały, trzeba było zaprowadzać go do szkoły, pomagała mi dużo sąsiadka Angielka.



Żona Józefa Piechockiego Barbara wraz z dziećmi...



Podczas wypoczynku...

Odwiedzał Pan Polskę?

Do Polski jeździłem dwa razy w roku. Po raz pierwszy pojechałem w czasach komunistycznych, autobusem ze stacji Wiktoria w Londynie. Miałem paszport brytyjski, na granicy staliśmy wiele godzin... Moi rodzice wówczas już nie żyli. Nie miałem możliwości przyjazdu na ich pogrzeb.

Od kiedy zostałem wzięty do niewoli niemieckiej, nigdy ich już nie zobaczyłem. Odwiedziłem siostrę, a nie wiedziałem, gdzie mieszka mój brat. Wiedziałem jedynie, że mieszka w Szczecinie, ale nie wiedziałem, gdzie dokładnie. Pojechałem do Szczecina i znajomy mojej żony, pomógł mi odnaleźć brata. Poszedł na komendę policji, podał nazwisko brata i w taki sposób się dowiedział. Poszedłem w odwiedziny. Długo się nie widzieliśmy... był już żonaty... Kiedy pisałem do niego listy, to większości nie otrzymywał, wszystkie były kontrolowane... czasem tylko otrzymywał. Odwiedziłem też moją rodzinną miejscowość, ale tam już nic nie ma...

Nigdy nie udało mi się pojechać do Polski razem z żoną, jeździliśmy osobno. Żona zabrała kiedyś dzieci w podróż do ojczyzny, bardzo im się podobało.

Ja jeździłem przeważnie do Piotrkowa, do rodziny żony, a także do Warszawy do siostry mojej żony. Jej córka często do nas przyjeżdżała. W Polsce byłem ostatnio dziesięć lat temu. Żona

wyrobiła paszport angielski, gdyż posługując się tylko polskim w tamtych czasach, mogłaby w Polsce zostać zatrzymana. Ja też dostałem paszport angielski, wypełniłem formularz, musiałem mieć podpisy sześciu Anglików, którzy potwierdzili moją tożsamość. Moje dzieci nie jeżdżą do Polski. Mam dwójkę wnuków, ale niestety nie mówią po polsku. Brat odwiedził mnie w Anglii dwa razy.

Nie żałuję, że przyjechałem do Wielkiej Brytanii. W rodzinnej miejscowości nie ma nic. Ze Szczecina do Smuszewa z bratem jechaliśmy kilka dobrych godzin maluchem. Rodzice pochowani są w Szczecinie. Kiedy kończyła się wojna i nadchodzili Rosjanie, bauerzy uciekali do Niemiec. Zostawiali domy. Załadowali się na wóz drabiniasty z dobytkiem i uciekali do Berlina, brat wraz z nimi. Kiedy dojechał do Szczecina, jakoś tak się stało, że zgubił Niemców. Wrócił z powrotem. Rosjanie zabrali mu jednego konia, potem drugiego. Brat wrócił tam, gdzie mieszkaliśmy przed wojną. Pałac w majątku zajęli Rosjanie, a po wojnie ludzie organizowali tam zabawy. Brat został w Szczecinie, zajął dom po Niemcach, poszedł do pracy. Po powrocie kłódka w drzwiach wejściowych była wyrwana i już ktoś inny mieszkał. Potem otrzymał inne mieszkanie też w domu po Niemcach, do którego zabrał rodziców i dochował ich do śmierci.

Jakie są Pana refleksje z perspektywy wielu już lat na emeryturze, jak wspomina Pan pracę w Anglii oraz zaangażowanie w życie religijne?

Zależy od miejsca i ludzi. Dla mnie w fabryce ciastek było dobrze, skład pracowników bardzo międzynarodowy: Polacy, Hindusi, Włosi, ludzie z Afryki, Portugalczycy. Cała fabryka pod kontrolą obcokrajowców. Polacy są dobrzy do roboty, do biznesu nie, do biznesu są Żydzi, Pakistańczycy oraz ludzie z Indii.



Dzień przejścia na emeryturę, z prawej strony córki Józefa Piechockiego, w okularach Elżbieta, obok niej Anna.

Jeśli chodzi o życie religijne to najpierw uczęszczałem do różnych kościołów w Londynie. Szczególnie pamiętam kościół Brompton Oratory, pracował w nim polski ksiądz z marynarki wojennej, stale było tam pełno ludzi. Któregoś dnia ksiądz ogłosił, że znalazł kościół, który chciałby kupić i żeby złożyć większą ofiarę. Chodziło o kościół św. Andrzeja Boboli. Po czasie udało się zebrać wymaganą kwotę. Gdy wracaliśmy z kościoła Brompton Oratory, chodziliśmy do SPK na towarzyskie spotkania.

Kiedy się ożeniłem i przeprowadziłem do północnego Londynu, zacząłem uczęszczać do parafii oo. Jezuitów. Moje dzieci chodziły do polskiej szkoły, a sakramenty święte przyjęły w polonijnej parafii na Willesden Green. Polonia należąca do parafii była bardzo zgrana, co niedzielę każda kobieta przynosiła ciasto, które po Mszy sprzedawano. Zarabiano dużo pieniędzy. Była też parafialna orkiestra dęta, pieniądze uzyskane z dochodu za grę w innych parafiach przeznaczano na dochód dla naszej parafii.

W 2012 roku zobaczyłem, że w pobliżu gdzie mieszkam, jest otwarty kościół, wszedłem, zauważyłem polskiego ojca jezuitę oraz prezesa rady parafialnej. Porozmawiałem z nimi, okazało się, że kościół będzie otwarty dla Polaków. Mieszkam bardzo blisko, więc jeśli coś trzeba, to służę pomocą. Często ktoś pożycza to, co jest potrzebne, czy piłkę czy siekierkę.



Z przyjaciółmi...

Dziękuję za rozmowę.

siostra Halina Pierozak
Misjonarka Chrystusa Króla
dla Polonii Zagranicznej
31.10.2020r.

Pan Józef Piechocki wyraził zgodę na publikację ww. wywiadu.